

Morawska Zuzanna

CZY TO CIEKAWY?

rawska

~~~~~  
*Warszawa.—Druk Synów St. Niemiry. Plac Warecki 4.*

# czy to ciekawe?

16 KRÓTKICH POWIASTEK

DLA MAŁYCH DZIECI

PRZEZ

Zuzannę Morawską

z rycinami L. ILINICZA



WARSZAWA

NAKLAD KONSTANTEGO TREPTĘGO

*Marszałkowska Nr 149*

K-14/81



70048 ✓

Дозволено Цезурою.  
Варшава, 9 Сентября 1902 года.

## Skarbiec Adasia.

Co ja mam za skarbiec, co za skarbiec!  
wołał Adaś.

— Pójdź Helenko, pokażę ci mój skarbiec, tylko nie mów nikomu!—dodał, biorąc siostrzyczkę za rękę.

I oboje pobiegli do ogrodu, gdzie dużo drzew rosło i była taka gęstwina, że ledwo się można było przez nią przeisnąć.

— O, patrz, widzisz te drzwi żelazne—rzekł Adaś, uchylając kawałek blachy—

tam, to wejście do skarbcu—dodał, wskazując doniczkę od kwiatów bez dna, leżącą na ziemi.—A tam dopiero pod temi kamieniami jest prawdziwy skarbiec—dokończył.

— A co tam masz w tym skarbcu?— spytała dziewczynka.



— Właśnie namyślam się co by tam schować—odrzekł Adaś.

— Jeżeli masz co bardzo drogiego i nie chciałabyś, żeby ci zabrano, to możesz schować do mego skarbcu—dodał.

— A któżby mi zabrał, przecież w pokoju niema takich złych ludzi, którzyby chcieli zabrać moje lalki lub zabawki — mówiła Helenka.

— Jakie też z ciebie dziecko, ja wiem, że niema teraz takich złych ludzi, ale widzisz, ja czytałem, że dawniej podczas wojny chowano wszystkie kosztowne rzeczy, żeby im nieprzyjaciel nie zabrał—pouczał dalej Adaś.

— Kiedy u nas niema wojny—rzekła Helenka.

— Tak, ale jak przyjedzie Józio, Antoś, Władzio, Staś i Marynia, to się zawsze bawimy w wojnę.

— Aha, wiem, wiem, to dobrze, schowam przed nimi moje lalki, bo mi raz jedną zepsuli—przerwała Helenka.

— Lalka się tam nie zmieści, ale można schować rozmaite ubranie, broń; wraże

potrzeby potem wyjmiemy i będziemy mieli w co odziać nowych żołnierzy i w co się ustroić.

— Teraz to rozumiem—odpowiedziała Helenka, i pobiegła zaraz do domu.

Adaś tymczasem stał nad otwartym skarbem i wkładał weń stary łuk, parę strzał, kilka starych marek pocztowych, kilka kamyków świecących, parę kawałków sznurka, a także w małym pudełeczku trochę śrótu, który dostał od leśnika.

Przybiegła wkrótce Helenka, niosąc w fartuszkę rozmaite kosztowności swoich lalek. Były tam bransoletki z niebieskich i złotych paciorek, pierścionek z kawałka drutu, dwie łyżeczki cynowe, pełen woreczek muszelek i rozmaite drobiazgi.

— Masz, schowaj to—rzekła dziewczynka, wysypując wszystkie skarby na ziemię.

— Ale medalika z Matką Boską ani obrazka nie przyniosłam—mówiła dalej—bo mama powiedziała, że nasz skarbiec to zabawa, a do zabawy rzeczy świętych brać się nie godzi.—Potem zaś dodała:

— Dobra, kochana mama! a wiesz, co ci powiem, że najdroższym dla nas skarbem, to jest kochana nasza mateczka, a przecież jej do skarbcia nie schowamy!

Adaś zamyślił się i rzekł:

— Tak, matunia największym naszym skarbem, do skarbcia jej nie schowamy, ale bronić ją będę od złego przez całe życie.



## Podwieczorek.



Mama dała Ańdzi tabliczkę czekolady, mówiąc:

— Podziel się z braciszkami i siostrzyczką i bądźcie grzeczni—ja wkrótce powrócę.

Wkrótce mama wyszła. Ańdzia zaś pobiegła do stołowego pokoju, gdzie był jej najstarszy braciszek Michaś, młodszy od niej Wiktorek i najmłodsza siostrzyczka Julcia. Wbiegając zaś, zawołała:

— Zgadnijcie, co nam mama dała?

— Jabłek!—ozwał się Michaś, podnosząc głowę z nad kajetu, bo właśnie pisał kaligrafią.

— Pomarańczę! — zawołał Wiktorek, chcąc zajrzeć pod fartuszek, gdzie Ańdzia schowała rączki z tabliczką czekolady.

— Aha, nie wolno zaglądać—broniła się Ańdzia.

— Ciuciu!—zaszczebiotała Julcia, zbliżając się do siostry.

— Żadne z was nie zgadło!—śmiała się Ańdzia, biegnąc po pokoju i chroniąc się przed ciekawością rodzeństwa.

Wreszcie wskoczyła na stołeczek, wyjęła z pod fartuszką rękę, podniosła ją do góry i pokazała przysmaczek.

— Ciuciulada!—zawołała Julcia, która jeszcze dobrze wymawiać nie umiała.

— Czekolada!—zawołali braciszki, wyciągając ręce.

— Czekaście, czekaście, wszystkich was podzielię — mówiła Ańdzia, zeskakując ze stołeczka i przybliżając się do stołu.

Braciszkwowie, a nawet i Julcia, jako grzeczne dzieci, stanęli przy niej i czekali, aż Ańdzia rozłamie czekoladę.

— Akurat każdemu z nas dostanie się po jednakowym kawałku, bo tabliczka na cztery równe części podzielona — mówiła

Ańdzia, rozłamując czekoladę.



— Dobra! — rzekł Wiktorek, ugryzłszy kawałek.

— Dobra, ale gotowana byłaby lepsza! — dodał Michaś.

— W filiżance! — zaszczebotała Julcia.

— To nie jedzcie, ja wam zaraz ugotuję! zobaczycie, jaka będzie doskonała! — mówiła Ańdzia.

I pobiegła do kuchni.

— Wkrótce wróciła, niosąc rondelk do połowy napełniony białym płynem.

— Patrzcie, jest nie tylko czekolada, ale i mleko! — zawołała.

Że zaś ogień się palił na kominku a od ognia oddzielała dzieci żelazna krata z blachą, doskonale rozgrzaną, Ańdzia postawiła na niej rondel, wrzuciła swój kawałek czekolady, toż samo uczynili braciszkwowie i mała Julcia.

Potem chcieli ciągle zaglądać i mieszać, ażeby zobaczyć, czy się czekolada



już rozpuściła, ale Ańdzia im rzekła z wielką powagą:

— Jak wszyscy zaczniecie mieszać, to wylejecie i nic z tego nie będzie.

— Już ja sama ugotuję!—dodała.

Julcia miała ochotę się rozplakać, ale zobaczywszy, że Wiktorek i Michaś się odsunęli, usunęła się także i jak dorosła osoba na stołeczku spokojnie usiadła.

— Przyszykujcie filiżanki i łyżeczki!—mówiła mała gosposia, patrząc na gotującą się czekoladę.

Michaś i Wiktorek pobiegli zaraz. Kręciła się między nimi i Julcia, ale filiżanek nie znaleźli, bo kredens był zamknięty.

— Jest tylko półmisek—rzekł Michaś.

— Wybornie. Wylejemy czekoladę na półmisek i będziemy jeść łyżkami!—zawołała Ańdzia.

— Oh, ja już mam łyżkę! — mówił Wiktorek — i stanął przy stole, założył

ręce w tył, a trzymając łyżkę, oczekiwał, aż Ańdzia wyleje z rondelka czekoladę.

Ańdzia bardzo zręcznie wylewała powoli na półmisek. Michaś stanął przy niej i przypatrywał się pilnie, Julcia stanęła przy Wiktorku, oparła rączki o stół, wspięła się na paluszki, podniosła główkę do góry i łykając ślinkę, przypatrywała się ciekawie.

Potem wszyscy zasiedli przy stole i łyżeczkami poczęli z półmiska nabierać.

— Fe, co to jest! — zawołał Michaś, spluwając.

— Jakie to niedobre—mówił krzywiąc się, Wiktorek i tak samo jak brat wyplunął wzięty do buzi przysmaczek.

— To dla tego, żeśmy nie mieli cukru!—rzekła Ańdzia, próbując.

Skrzywiła się wszakże i przełknąć nie mogła.

— Jak mydło! — mówiła, krzywiąc się Julcia.

I miała słuszność.

Ańdzia, zobaczywszy biały płyn w rondelku, myślała że to mleko, tymczasem były to mydliny, które kucharka przygotowała do szorowania stołu.

Popsuły sobie dzieci doskonały podwieczorek. Tak zawsze bywa, ilekroć dzieci wezmą co bez pozwolenia starszych.



## Nożyk.



**N**ie bierz nożyka, bo się skaleczysz! — mówiła mama do pięcioletniego Stasia. Staś nóż położył, — po chwili jednak zapomniał, że mama nożyka brać nie pozwoliła, wziął nóż, pobiegł do ogrodu i zaczął strugać patyczek.

Wtem „traf!“ nożyk się usunął i zamiast patyczka przekroił palec Stasia.

Krew się połała, chłopczyk zbladł, chciał płakać, ale połknął łzy. Przycisnął tylko drugą ręką skaleczony palec, pobiegł do studni i zanurzył go w wiaderku z wodą.

Czy to ciekawe?



70048

Potem zerwał liść bzu, owinął palec i chociaż go bardzo bolało, wcale się nie skarżył.

— Cóż ci to w palec, żeś go listkiem owinął?—zapytała mama.



— Staś zarumienił się po same uszy i rzekł:

— Skaleczyłem się, proszę mamy!

— Pokaż—zawołała mama.

Staś przysunął się i pokazał palec z zaskrzepłą krwią do koła.

Mama kazała mu włożyć rękę w wodę, ażeby odmoczyć krew zaskrzepłą a potem zaczęła liść odwijać.

Chociaż czyniła to powoli i ostrożnie, Stasia jednak bardzo bolało.

Nie jednak nie mówił, nie syknął nawet i patrzył odważnie na krew, sączącą się z rany. Mama odjęła liście, owinęła mu palec czystym białym płatkim, Staś podziękował i pocałował ją w rękę, a mama uściskała go serdecznie i powiedziała:

— Źleś zrobił, mój synku, żeś brał nóż, kiedy ci nie pozwoliłam, ale cieszę się, że nie jesteś mazgajem i nie płaczesz, chociaż cię palec boli.

— Och, nie mateczko, ja nie chcę być mazgajem, tylko odważnym mężczyzną — odrzekł Staś i uściskał znów kochaną mateczkę.



— Hm, — świnie, to takie brzydkie stworzenia! — rzekł Adaś, wydymając usta.

I odsunął się od Franka.

— Co też to panicz mówi, brzydkie, a niech jeno panicz popatrzy, jakie to

## Świniki.



Adaś pojechał do cici na wieś i spotkał siedmioletniego Franka, który z wielkim batem a jeszcze większą fantazyą przechodził przez podwórze.

— Pójdź się ze mną bawić! — zawołał Adaś.

— Ba, poszedłbym z ochotą, ale muszę zaraz świnie w pole wypędzić! — odrzekł Franek.



wesolutkie i jak chybko biegają! — odrzekł Franek, popędzając dużą świnie, przy której biegło sześć ślicznych białych prosiątek z zakręconemi figlarnie ogonkami.

Adaś spojrział z pod oka i nie namyślając się długo, począł Frankowi pomagać do zaganiaania całego stada. Pomoc jego nawet bardzo się przydała, bo Franek nie mógł sobie dać rady. Co wypędził z podwórza, to znów jakie prosiątka wracało i kwicząc szukało, czy nie znajdzie co smacznego do zjedzenia lub też dla zabawy. Ryło też ziemię, pokrzakując wesoło:

— Uum, uum, um!

— Ależ ty masz nie mało z niemi roboty!—zawołał Adaś, dopomógłszy nareszcie Frankowi do wypędzenia całej trzody na pastwisko.

— Ba, przeciwnie już duży, muszę pracować!—odrzekł Franek, trzaskając z bata i zaganiając rozpiezchającą się trzodę.

— I nie nudzi ci się tak cały dzień siedzieć na polu?—zapytał Adaś.

— O, co też to panicz mówi, miałbym się nudzić! a niechno panicz popatrzy, jakie to zabawne te małe prosiątka, jak się powyciągały i wygrzewają się na słońku;—albo ta ich matka, niby szuka trawy, a wciąż się ogląda za małemi,—albo ten z czarną łatką na uchu, jak to on zupełnie inaczej chrząka, jak tamte—opowiadał Franek.

Adaś słuchał, przypatrując się rozpiezchłej po całym polu trzodzie.

— Ale czemu te malutkie takie białe, a tamte takie brudne?—zapytał.

— Bo te malutkie jeszcze się nie zawały, a też żywią się tylko mlekiem, to i białe jak mleko, a te duże jedzą trawę i rozmaite zielska, szukają sobie pożywienia, pracują, to się unurzają—tłomaczył Franek!

Adaś znów patrzył i słuchał, a potem pomyślał sobie:

— Franek młodszy odemnie a już pracuje, te nawet świnki, chcąc mieć pożywienie, muszą pracować, i ja nie mogę być próżniakiem!



## Masz i ty złośniku.



Cip, cip, cip!—wołała Ania, stanąwszy na środku podwórka.

Na głos jej ze wszystkich stron zaczęły się zbiegać kury, kaczki, indyki i zlatywać gołębie.



Najpierw szedł wielki żółty kogut, a idąc, zwoływał:

— Ku-kur, ku-kur! sypią nam ziarno!

Potem dreptała śliczna czubata kura, wołając na swoje pisklęta:

— Ko-ko! ko-ko-ko! pójdźcie dziateczki, dostaniecie coś dobrego.

— Gro-chu, gro-chu!—wołały, trzepocząc skrzydłami, gołębie.

— Kwak, kwak, kwak! ja wezmę tak, ja wezmę tak!—krzyczała kaczka, kołyszając się niezgrabnie na krótkich nogach i zabierając ziarno szerokim dziobem, jak szuflą.

— Tiuk,-tiuk, tiu! czy aby dla nas co zostanie?—zapiszczały wiecznie głodne i wiecznie biadające indyczki.

— Guldu,- guldu! Niebójcie się, moje kochane,—wszystkich porozpędzam!—zwołał indor.

I nadawszy gardło, aż mu korale posiniały, roztoczył ogon i zamiatając rozpuszczonemi skrzydłami, chciał przestraszyć czubate kury, drobne kurczątko, pierzchliwe gołębie, a nawet nie zważające na nie żarłoczne kaczki.

Ale Ania nie zlekła się gulgotania, nie pozwoliła zrobić krzywdy nikomu.

Odpędziła więc pysznego indora i dalej wołała:

— Cip, cip, cip!

A ziarnka pszenicy sypały się jej z rączki i żółciły się na czarnej ziemi jak złoto!

Gołębie siadały jej na ramionach a nawet jeden śmiałek wprost z fartuszka wyjadał najpiękniejszą pszenicę. Odpędzony zaś indor chodził nadęty, ale nie śmiał porozganiać drobiu, bo wiedział, że Ania na to nie pozwoli.

Dopiero kiedy już cała rzesza się najadła, Ania rzuciła przed indorem garstkę pszenicy, wołając:

— Masz i ty, złośniku!

A indor, zwinąwszy skrzydła, zabrał się do jedzenia i o gulgotaniu zapomniał.



## Złośliwy kozioł.



**K**ostuś bardzo lubił wszystkie domowe zwierzęta, głaskał je, dawał trawy, chleba i żadnemu nigdy krzywdy nie zrobił!

Raz spostrzegł pasące się kozy, były dwie stare i dwa małe kozłątka i jeden duży kozioł z dużemi zakreconemi rogami.

Kostuś pobiegł zaraz do nich,—począł się z nimi bawić,—przenosił małe kozłątka, gdzie było więcej trawy, a nawet wyjął kawałek cukru z kieszeni i dawał im, a kozłątka chętnie lizały.



— Aha, smakują wam słodycze—rzekł z zadowoleniem.

— Moje malutkie, przyniosę wam jutro więcej cukru, a teraz do widzenia, do widzenia!—dodał, głaszcząc kozłatko.



I tak żartując, zdjął kapelusz i ukłonił im się niziutko.

Kozłatkom spodobały się te ukłony, biegły więc za nim w podskokach a Kostuś, wciąż kładąc i zdejmując kapelusz, bawił się z nimi doskonale.

Lecz staremu kozłowi nie podobała się ta zabawa. Patrzył chwilę, potem oczy mu krwią zaszyły i nastawiwszy rogi, chciał nimi poczęstować chłopczyka.

Ale Kostuś odskoczył na bok i uchwyciwszy dużą gałąź, odpędził złośnika a potem, machając wciąż gałęzią, pobiegł szybko do domu.

Na drugi dzień szedł tą samą drogą i spostrzegł, że całe stado kóz z wielkim kozłem na czele, ogryza skórę na świeżo posadzonej brzezynie.

— Co na to, to nie pozwolę!—zawołał Kostuś.

— Te drzewka tak ślicznie się przyjęły, a wy chcecie je zniszczyć, szkodniki—dodał.

I uderzywszy starego kozła gałęzią, wypędzał kozłeta ze szkody.

Skorzystal z tego stary kozioł, zaszedł go z tyłu i pochwyciwszy na rogi,

począł nim trząść, ile mu tylko sił starczyło.

Przestraszony Kostuś począł krzyczeć, a im więcej krzyczał, tem więcej kozioł trzął nim i rogami dokuczał. W końcu Kostuś z wielkiego przestachu i bólu krzyczyć już przestał, tylko drżał cały jak w febrze, spoglądał czy mu kto z pomocą nie nadejdzie i usiłował oswobodzić się od złośliwego kozła.

I kto wie, co by się stało, gdyby właśnie w owej chwili robotnicy wracający z pola nie dostrzegli biednego chłopca. Zaraz też jeden zastąpił drogę złośliwemu kozłowi, a drugi zdjął z jego rogów Kostusia.

Nie mógł on się utrzymać na nogach o swojej sile, chwiał się i plecy go bardzo bolały.

Jeden więc z robotników wziął go na ręce i jak małe dziecko odniósł do domu.

Kostuś miał posinione plecy, kilka dni musiał leżeć w łóżku a mama z wielkim niepokojem na niego patrzyła.

Wszystkiemu zaś był winien ten szkaradny kozioł, a może i Kostuś troszeczkę, że go uderzył.



## Warkoczyk Jadzi i kapelus Antosia.

**A**ntoś i Jadzia pojechali z mamą do cioci, która mieszkała na wsi. Oboje cieszyli się bardzo z tej przejażdżki, bo ciocię bardzo kochali a na wsi jeszcze nigdy nie byli.

Wszystko ich więc zajmowało; obesзли z ciocią całe podwórze, nie mogli się nacieszyć psem, który z początku warczał, ale potem oswoił się z niemi, dał się głaskać i lasił się do nich.

Najwięcej wszakże zajmowały ich konie.

Właśnie w stajni stała śliczna klacz, a przy niej mały źrebaczek.

— Tylko nie przybliżajcie się do niej, bo może złapać zębami i skaleczyć — ostrzegła ciocia.

— To ona taka zła?!—spytała Jadzia.

— Alboż to konie gryzą?—zapytał Antoś z niedowierzaniem.

— Konie są łagodne, nie rzucają się na nikogo i nie gryzą, gdy im się nic złego nie robi, ale nie lubią, gdy im się kto sprzeciwia—odrzekła ciocia.

— Ja nic jej złego nie zrobię, tylko ją pogłaszczę—mówił Antoś.

— A ja pogłaszczę źrebaczka—dodała Jadzia.

— Proszę cię, nie głaszcz i nie przybliżaj się—rzekła stanowczo ciocia. Będzie

myślała, że chcesz jej zabrać źrebaczka i może cię chwycić zębami lub uderzyć kopytem—mówiła dalej ciocia.

I jeszcze nie miała czasu dokończyć, gdy i Antoś i Jadzia oboje naraz krzyknęli.

Antoś stał blady i drżący, Jadzia chwyciła ciocię za rękę, wołając:

— Urwie mi warkocz, urwie warkocz!

Rzeczywiście klacz trzymała w zębach jej długi warkocz i gryzła go bez miłosierdzia, Antosia zaś kapelusz leżał na ziemi.

Ale bo też Antoś i Jadzia nie słuchali ciocie i chcieli koniecznie pogłaskać źrebaczka. Antoś nawet schwycił go za ogon, a klacz jako dobra matka broniła go, jak umiała.

Najpierw więc chwyciła kapelusz An-

tosia, a potem złapała zębami warkocz Jadzi.

Zaledwie też zdołano wyjąć z jej zębów warkocz, ale doskonale pośliniony.



Oboje dzieci bardzo się przelekły, kapelusz Antosia był zupełnie zgnieciony, gdy zaś rozpleciono warkocz Jadzi, oka-

zało się, że ma dużo włosów poprzecinyanych.

Antoś musiał wracać do miasta w kapeluszu pogniecionym i poplamionym, a nawet długo w nim chodził, bo mama nie chciała kupić innego.

Jadzia zaś, ciesząc się, powtarzała codziennie:

Gdyby nie ten warkocz, byłabym bez głowy,  
A tak mam warkoczyk ścięty do połowy.



## Kura i kurczęta.



— Co tu kanarków! — zawołała Marynia, zobaczywszy kurę z malutkimi żółciutkimi kurczątkami.

— Co? to u was kanarki chowają się bez klatki? — pytała dalej, nie zważając, że wszyscy się z niej śmieją.



— Jakaś ty zabawna—mówiła Ziunia, zanosząc się od śmiechu—przecież to nie kanarki, tylko kureczątka.

— Kureczątka?! ja jeszcze nigdy takich nie widziałam!—dziwiła się dalej Marynia.

— Do nas przynoszą takie duże, czarne, pstre, czasem białe, ale nigdy jeszcze żółtych nie przynieśli—mówiła dziewczynka z pewnem niedowierzaniem.

I przysiadła na ziemi, chcąc przypatrzeć się kureczętom, dziobiącym z wielkim smakiem posiekane jajko.

— Ciekawam, po co przynosiliby wam takie maleńkie kureczątka; takich maleńkich nikt by nie jadł—mówiła dalej Ziunia.

— To bym je chowała w klatce jak kanarki—rzekła Marynia.

— Jakbyś je chowała w klatce, toby nie urosły, bo kureczęta potrzebują dużo ruchu

i dużo powietrza; w Warszawie niema na to miejsca i dla tego nikt drobiu tam nie hoduje—pouczała ją starsza o parę lat Ziunia, wychowana na wsi i doskonale wszelkie ptactwo domowe znająca.

— Och!—westchnęła Marynia—a potem rzekła:—prawda w Warszawie takie małe podwórza, niema zieloności, tyle osób przechodzi, zagnietliby takie maleństwa.

— Ale moja Ziuniu, czy te kureczątka jak urosną, będą zawsze takie żółte?—spytała nagle. Marynia bowiem nie bardzo wierzyła, że to są kureczęta.

— Ale gdzież tam, zrobią się pstre lub białe, czasem nawet czerwone, jak oto ta kura—pouczała dalej Ziunia.

— Przypatrz się—mówiła dalej—to kureczątko ma już nawet kilka piórek czarnych w skrzydełkach.

I wzięwszy jedno, pokazywała Maryni.

— O, widzisz, tam są już starsze, dużo większe—dodała, wskazując jej rozmaitej wielkości kurczęta.

Marynia spozjrzała na biegające lub wygrzewające się na słońcu pisklęta, najwięcej ją jednak zajmowały te małe żółciutki.

Schyliła się też, chcąc wziąć jedno, lecz zaledwie rączkę wyciągnęła, kura nastroszywszy pióra, skoczyła i dziobnęła ją doskonale.

— Ach, ty!—zawołała Marynia—zrywając się i oglądając skaleczony palec.

— Przecież ja nie chcę im nic złego zrobić! — mówiła.

— Ale kura o tem nie wie, nie zna cię, broni więc swoich maleńkich!--rzekła Ziunia.

I pogłaskawszy kurę, wzięła jedno kurczątko i podała je Maryni.

Marynia przypatrywała się maleństwu, pieściła je, a kura gdacząc, biegała do koła, patrząc z wielką nieufnością.

Marynia posadziła kurczątko, które zaraz pobiegło i skryło się pod skrzydła matki.

Marynia zaś pomyślała sobie:

— Teraz już wierzę, że to są kurczęta, bo one się tak tulą do kury, jak my do naszej kochanej mateczki.

I pobiegła ucałować mamunię.



## Kiedy Karolek dostanie konika.



Gdy Karolek był jeszcze maleńki, przybiegał do tatusia i wołał:

— Hop, hop!

Tatusz wtedy sadzał sobie Karolka na nogę, huśtał go i wołał tak samo:

— Hop, hop!

Gdy Karolek podróśł, dostał od tatusia długi malowany kij, na którym była

osadzona głowa konia z malowaną grzywą i małą uzdeczką.

Karolek wsiadł na kij, wziął uzdeczkę i biegając po pokoju, wołał:

— Pata—taj,—pata—taj!

Gdy już miał lat pięć i dużym był chłopczykiem, wzdychał ciągle:

— Kiedy też to tatusz pozwoli mi wsiąść na prawdziwego konia!

Jednego dnia przyprowadzono osiodłanego osiołka i wsadzono nań Karolka.

Karolek chociaż się bał nieco i mine miał strwożoną, wziął wszakże w lewą rękę uzdeczkę, w prawą szpicrutę i zawołał:





— Wio!

Osiótek szedł powoli, spokojnie i objechał z małym jeźdźcem dookoła klombu.

Karolek, zsiadłszy ze swego wierzchowca, podziękował ojcu, a potem spytał:

— Kiedy mi tatuś pozwoli wsiąść na prawdziwego konia?

A tatuś mu odrzekł:

— Gdy urośniesz i bać się nie będziesz,  
A nauką i pracą konika zdobędziesz!

Czy Karolek dostanie konika na lato?  
Zdaje się, że dostanie, nawet ręczę za to!



## Co my teraz zrobimy?



- **M**aniusia już była dość długo na letniem mieszkaniu, ale jeszcze nigdy nie była w lesie, który rozciągał się za drogą i ogrodem, należącym do ich domku.

Nie była, bo mama jej powiedziała, żeby tam nie chodziła, bo las jest bardzo gęsty i mogłaby się zabłąkać.

— Pójdziemy tam razem — dodała mama.

Ale jakoś tak schodziło, że mama wybrać się nie mogła.

Jednego dnia Maniusia bawiła się w ogródku, gdy usłyszała:



— Maniusiu, Maniusiu!

Obejrzała się i zobaczyła przy płotku Bonusia i Wańdzia, dzieci sąsiadów, z którymi się czasem bawiła.

Pobiegła więc do nich i rzekła:

— Pójdźcie do mnie do ogródka, zabawimy się doskonale!

— Eh, zawsze siedzieć w ogródku, już mi się sprzykrzyło!—odrzekła Wańdzia.

— Pójdź oto z nami do lasu, tam zobaczymy coś nowego, a może i gniazdo jakie znajdziemy—zapraszał Bonus.

— Nawet wiem o jednym gniazdku: są cztery małe ptaszki, tak ślicznie dzióbki otwierają—mówił dalej Bonus.

Maniusi aż się oczki zaświeciły na wspomnienie ptaszków, bo jeszcze nigdy ich w gniazdku siedzących nie widziała.

Zapomniała więc, że mama nie pozwoliła jej chodzić bez siebie do lasu i otworzywszy furtkę, z ogródka wybiegła.

Bonus i Wańdzia wzięli ją z obu stron za ręce i wszyscy troje pobiegli do ciemniejszego przed nimi lasu.

Ale za ledwie weszli, zciemniło się nagle, zaczęło grzmieć, od czasu do czasu błyskawica przedzierała się przez gęste drzewa, oslepiając ich prawie swem światłem;—huk straszliwy słyszeć się dawał, a potem znów robiło się bardzo ciemno.

Dzieci przerażone zaczęły uciekać, ale zamiast się wrócić, coraz głębiej w las się zapuszczały.

Wreszcie zrobiło się tak ciemno, że już nic przed sobą nie widziały.

— Co my teraz zrobimy, co zrobimy!—wołała z płaczem Wańdzia.

— Jak się mama zmartwi, gdy mnie nie znajdzie w ogródku—mówiła, drżąc z przerażenia Manusia, która sobie w tej chwili przypomniała, że mama jej do lasu chodzić nie pozwoliła.

Wtem deszcz rzęsisty zaczął padać.

— Ach, tym swoim płaczem tyłkoście deszcz sprowadziły!—zawołał ze złością Bonuś.

— Co ty pleciesz!?! — ozwała się Wańdzia.

— A tak, deszcz z wilgoci powstaje, powstał więc i teraz z waszych łez!—odrzekł chłopiec z miną mędrka.

Wtulił się wszakże pod gałęzie rozłożystej dzikiej porzeczeki.

Dziewczynki, przytuliwszy się do siebie, stanęły pod drugim krzakiem i wszyscy troje, drżąc z przerażenia, po cichu płakali.



— Ja bym nie płakała, ale się boję, bo jeszcze jaki zwierz dziki nas poźrze, albo jaki rozbójnik zabije...—mówiła Marnusia, usiłując płacz powstrzymać.

## Co się dalej stało.



— **B**eksy jesteście, wielkie rzeczy, posiedzimy trochę, deszcz przejdzie i wrócimy do domu!—ozwał się Bonuś po chwili.

Znać jednak było, że sam bał się bardzo, bo mu głos drżał i nie mógł ukryć łez, które go dławiły.

— Tak! beksy, a sam płaczesz—odrzekła Wańdzia.



— W tym lesie niema żarłocznych zwierząt, ani też rozbójników—odrzekł uspokajająco Bonuś.

Obejrzał się jednak i strach go przejął jeszcze większy, bo w ciemności nie mógł nic dostrzedz.

— Gdzie wy jesteście?—zapytał.

Tutaj, prawie tuż przy tobie—odpowiedziały dziewczynki.

— Słuchajcie, ja będę szedł naprzód, a wy trzymajcie się tej gałęzi i idźcie za mną!—ozwał się Bonus z determinacją.

I podał im długą gałąź, którą wyłamał z krzaku.

— A jak jeszcze bardziej zabłądziemy...—rzekła Wańdzia.

— A może kogo spotkamy, co nas wprowadzi...—mówiła Marynia.

I zaraz uchwyciła podaną sobie gałąź.

— Zmokniemy do reszty...—ozwała się znów niechętnie Wańdzia.

Uczepiła się wszakże gałęzi i nie chcąc zostać sama, szła za Bonusiem i Maniusią.

— Tylko odważnie, nie ociągajcie się!—zachęcał chłopiec, przedzierając się przez zarośla.

W tem ujrzano jakieś migające światełko.

To rodzice, nie wiedząc, co się z dziećmi stało, wysłali ludzi z latarniami, ażeby ich szukać w lesie.

Szedł też i ojciec Bonusia.

— Aha, powiedziałem, że was wyprowadzę z niebezpieczeństwa!—zawołał Bonus z tryumfem.

— Nie chwał się, nie byłbyś tego dokazał, gdybyśmy ci nie przyszli z pomocą—ozwał się ojciec.

Przybyli służący musieli wziąć na ręce Maniusię i Wańdzię, bo woda tak porozlewała, że w wielu miejscach przejść same nie mogły.

Przemokli, przestraszeni i zziębnięci przybyli nareszcie do domu.

Musiano ich zaraz położyć do łóżka, a tak mama Bonusia i Wańdzi, jako też i mama Maniusi, czuwały przez całą noc nad niemi.

Manusia zaś przez sen mówiła:

— Już nigdzie nie pójde bez pozwolenia mamy.

Mama bardzo się bała, żeby Manusia nie rozchorowała się z przestachu i przeziębienia.

Ale Bóg dobry nie chciał zasmucać dobrej mateczki i nie ukarał Maniusi chorobą, bo widział, że ona serdecznie żałuje swego nieposłuszeństwa.



## Zosia na balkonie.



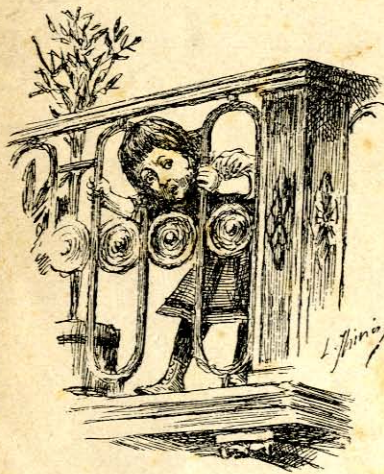
Zosia mieszkała na wsi i nigdy jeszcze nie była w dużem mieście. Ogromnie się też ucieszyła, gdy rodzice zabrali ją z sobą do Krakowa.

Gdy przyjechała, nie mogła się wydziwić wysokim kościołom i domom i co chwila wykrzykiwała z podziwu i radości.

Że zaś już było późno, nie wyszła dnia tego na ulicę, wybiegła za to na

balkon i bardzo ją to bawiło, że z takiej wysokości spogląda na ludzi, idących ulicą.

— Ten balkon wygląda jak wielkie gniazdo, albo jak ogród zawieszony wysoko — mówiła, rozglądając się po balkonie, zastawionym kwiatami.



— Ale czy ten balkon nie oberwie się podemną? — spytała po chwili.

— Nie obawiaj się, balkon jest doskonale przymocowany do muru, możemy więc bezpiecznie stać na nim — upewniła mama.

Wtem ktoś wszedł i mama musiała wrócić do pokoju.

Zosia tymczasem zaczęła próbować, czy jej się nie uda włożyć głowę między kraty i jak zaczęła nią śrubować na wszystkie strony, wśrubowała głowę między jakąś szerszą ozdobę w balkonie.

Wśrubowała, ale napowrót żadnym sposobem nie mogła jej wyjąć. Zaczęła więc krzyczeć w niebogłosy.

Mama zaraz nadbiegła z pokoju, chciała jej dopomóc do wyjęcia uwiecznionej główki, ale żadnym sposobem uczynić tego nie mogła.

Nadszedł też i ojciec, posłano po ślusarza, który piłką przerznął kratę, ażeby uwolnić główkę Zosi.

Żelazo pod piłką skrzypiało, Zosia drżała z obawy, żeby jej główki razem z kratą nie odpiłowano, ale przyznać

trzeba, że chociaż łyż jej jak groch kapąły, nie krzyczała już głośno, ażeby przestraszonych rodziców więcej jeszcze nie martwić.

Tymczasem pod balkonem zebrało się dużo ludzi, każdy w górę spoglądał i pytał, co się to stało, że kratę balkonu piłują.

Nareszcie domyślili się, zobaczywszy główkę Zosi i rodziców nad nią pochylonych.

Upłynęła godzina albo i więcej, nim przepiłowano kratę i wydostano główkę przestraszonej dziewczynki.

— Dzielna dziewczyna, że nie płakała!—zrobił ktoś uwagę.

— Ale jakim sposobem głowę tak wśrubowała?—spytał ktoś inny.

I zapytuję się, jakim sposobem to uczyniła, a może nawet nie wierzyłabym

temu, gdybym własnymi oczami na ten wypadek nie patrzyła.

Zosia już teraz jest duża, a ile razy jest w Krakowie, spogląda na ten balkon i wszystkim dzieciom o swojej przygodzie opowiada.





## M y s z.



I gnaś bał się bardzo myszy. Jak tylko kto powiedział: mysz, mysz! zaraz uciekał do drugiego pokoju i tak krzyczał, że nietylko myszy, ale nawet i ludzi mógł swym krzykiem wystraszyć.

Siostrzyczka jego Marynia śmiała się z niego i mówiła:

— Ładny z ciebie mężczyzna, co zamiast bronić innych od niebezpieczeństwa, to przed myszą ucieka!

— Kiedy mysz gryzie!..—mówił Ignaś.  
— Gryzie papier, chleb, ser, stoninę, ale nie ludzi—odrzekła Marynia.

— Tak, a wczoraj samaś mówiła, że poogryzała ci szufladę w komódce...

— Ha, ha, ha! — przerwała mu, śmiejąc się Marynia. — Czyś ty szuflada?

— Nie, ale...—rzekł Ignaś, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Widzisz, młode myszy dla wyostrzenia sobie zębów gryzą rzeczy twarde, jak papier lub drzewo, chociaż ani papieru, ani drzewa nie jedzą. Nikt jednak nie słyszał, żeby mysz ukąsiła człowieka, albo jakie żywe zwierzę.



Gdy tak rozmawiali, mała myszka wysunęła się z nory i miała ochotę znów ogryzać komódkę Maryni.

Ale zaledwie Marynia się ruszyła, przelekła mysz szybko się skryła.

— Widzisz—rzekła Marynia, jaka ona lękliwa, jak kto na nią spojrzy, zaraz ucieka;—a ty się boisz takiego maleńkiego stworzenia!

Ignas, chociaż mysz zobaczył, przewyciężył się i na ten raz nie płakał, tylko zapytał:

— A czemu mama każe myszy łowić w pułapkę i wpuszcza do spiżarni kota, żeby je łapał?

— Bo myszy szkodę robią i zjadają to, co jest dla nas przeznaczone—odrzekła Marynia.

— A żeś ty ani słonina, ani masło, ani chleb, ani ser, ani kasza, ani mąka, więc cię nie ugryzą!—śmiając się dodała.

Ignas słuchał i postanowił sobie, że chociaż go kto myszą straszyć będzie, albo nawet mysz zobaczy, krzyczeć nie będzie.

I trzeba przyznać, że słowa dotrzymał.

Mysz jest drobne stworzenie  
I zjada przysmaki,  
Ale któż się jej boi?  
Chyba, że tehorz jaki.



## Zabawki.



**B**ronisia była jedynaczką, nie miała ani siostrzyczki, ani braciszka, musiała więc sama się bawić.

Czasem mama lub tatuś z nią się bawili, ale nie zawsze mieli czas, bo ojciec chodził do biura, a mama szyła na maszynie.

Ale Bronisia nie przeszkadzała jej w tej robocie, owszem, pomagała nawet.

Wszystkie pocięte kawałki zbierała, kładła do koszyka—mówiąc:

— Gdy mamie będzie czego potrzeba, łatwo tam znajdzie.

Bronisia nie miała ładnych lalek ani zabawek, bo rodzice jej nie byli bogaci, nie mogli więc jej takowych kupować.

Ale Bronisia i tak umiała się bawić doskonale.

Robiła sobie laleczki z niepotrzebnych gałganków, wycinała je z papieru i ustawiała w dużym pudełku, które bardzo ładnie umeblowała.

Z małego pudełeczka zrobiła łóżeczko dla lalki, uszyła je śliczną uszytą przez siebie pościółką, z drugiego pudełeczka zrobiła szafkę przy łóżku, z trzeciego kanapkę, a na ścianie przykleiła kilka obrazków.

Lalki Bronisi miały nawet całe gospodarstwo.

Przemysłna dziewczynka powycinała z papieru rozmaite zwierzęta i ustawiła je w długim pudełku.

Była tam krowa, koza i świnka.



Były także dwie kury, kaczka, a gołąbek, przylepiony na krawędzi pudełka, wyglądał jak żywy.

Wszystkie te zwierzęta żyły w zupełnej zgodzie; pilnował ich piesek, który miał oddzielne schronienie, kot zaś drze-

mał sobie spokojnie i wcale na psa nie mruczał.

Bronisia codziennie porządkowała swoje zabawki, to też w pokoiku lalek wszystko aż się lśniło od czystości.

Ale lalek tych było cały tuzin, przychodziły do siebie w odwiedziny, Bronisia rozmawiała z nimi a czasem opowiadała im śliczne bajeczki.

— Czy się ty nigdy nie nudzisz?— zapytała ją raz Stefcia, która miała dużo zabawek.

— Ja?— odrzekła ze zdziwieniem Bronisia.

— Mam tyle zabawek i jeszcze miałabym się nudzić?— dodała.

Stefcia skrzywiła się z pewną pogardą, przyszedłszy jednak do domu zaczęła przeglądać swoje zabawki, porządkować je, potem wszystko schowała i tak samo

jak Bronisia urządziła dla lalek pokoik z pudełka i całe gospodarstwo.

Odtąd często przychodziła do Bronisi ze swojemi lalkami i obiedwie się doskonale bawiły.

Stefcia zaś powtarzała:

Mam prześliczne zabawki, samam je zrobiła, —  
Nigdy się kupionemi lepiej nie bawiła!



## To się ustroił!



**B**oleś lubił się bardzo przebierać za dorosłego mężczyznę.

Gdy mu się tylko udało, brał ojca kamizelkę, która mu sięgała po niżej kolan, i wyglądał w niej jak w kaftanie.

To znów wsuwał nogi w buty i suwał niemi, co krok się potykając. Czasem kładł tatusia rękawiczki i kiwając pustemi, zbyt dużemi na niego palcami, wyglądał jak kaleka.

Najwięcej go zaś nęcił wysoki kapelusz i laska.

— Gdybym tak wyszedł na ulicę w takim kapeluszu i z taką laską w rę-

ku, wszyscyby myśleli, żem już dorosły!—myślał sobie.

Że zaś chowano przednim kapelusz, obawiając się, żeby go nie pogniół, nie mógł się nigdy w niego ustroić.

Wtem patrzy i widzi stojący na stole w przedpokoju kapelusz.

Ogromnie się ucieszył, a że drzwi były do pokoju zamknięte, rzekł sobie:

— Raz przecie się ustroję!

Włożył więc kapelusz, wziął laskę do ręki i miał jeszcze włożyć rękawiczki,



gdy wujaszek, który był w pokoju u ojca, drzwi otworzył i rzekł:

— Ten psotnik pewnie przymierza mój kapelusz!

Boleś chciał prędko zdjąć kapelusz, ale zamiast zdjąć, pociągnął go tak, że mu wpadł na oczy.

Nie wiedząc, co dalej robić, chciał uciec, ale potknął się i przewrócił koziółka.

Przewracając się zaś, uderzył się o kant krzesła, przedziurawił kapelusz i nabił sobie doskonałego guza.

Zrobił się ogromny hałas, przybiegła mama, uwolniono psotnika z kapelusza, z którego się sam wydostać nie mógł, a wujaszek rzekł:

— Dobrze ci tak, ja mam przedziurawiony kapelusz, ale ty masz guz na czole!

Tatuś przeproszał wujaszka za swego niegrzecznego synka, a wujaszek odpowiedział:

— Nie będę żałował kapelusza, jeżeli się tylko Bolesć oduczy udawać dorosłego.

— Już nigdy nie wezmę takiego kapelusza, chyba aż będę duży! — ozwał się Bolesć, sykając z bólu.

Mama owiązała mu czoło zimną wodą, przez kilka dni Bolesć nie wychodził z pokoju, a ile razy spojrzał na zasinione czoło, zawsze sobie mówił:

— Ładnie się ustroił!

Przyznać jednak należy, że nie płakał i nie skarżył się, chociaż go czoło porządnie bolało.



## Gołąbki.

Ludwiś dostał od wujaszka aż trzy pary gołąbków. Cieszył się bardzo z tego podarunku i osadził w dużej klatce. Codzień też przychodził, sypał im groch i kukurydzę, dawał świeżą wodę i sam własnoręcznie oczyszczał klatkę.

Potem wypuszczał gołąbki, żeby sobie pobujały w powietrzu i użyły nieco swobody.

Gołąbki przyzwyczały się wkrótce do Ludwisia i gdy tylko się ukazał, i zawołał:—Dyż, dyż, dyż! zaraz ze wszech stron się zlatywały. Siadały mu na ramionach, na głowie, jadły z ręki wołały:

— Gro — chu, —  
gro—chu!

I wszystko byłoby bardzo pięknie, gdyby Ludwiś, pamiętając o gołąbkach nie zapomniał o nauce.

Ludwiś uczył się tylko pół godziny rano i pół godziny po obiedzie. Mama opowiadała mu bardzo piękne i ciekawe rzeczy, których Ludwiś, nim dostał gołębie, z wielką uwagą słuchał a potem innym dzieciom opowiadał.



Uczył się też czytać i niektóre wyrazy weale już dobrze przeczytał.

Lecz od czasu, jak się zajął gołębiami, o niczem już innem nie myślał.

Gdy mu mama opowiadała, on patrzył w okno, czy gdzie nie ujrzy latającego gołębia, gdy mama wskazywała wyrazy na elementarzu, przekręcał je najokropniej, bo myślał o gołębiach,

Mama z początku wołała:

— Uważaj, nie myśl o gołębiach!

Ale, gdy to nie pomogło, mama odeśłała kłatkę z gołębiami do wujaszka, mówiąc:

— Kto nie chce się uczyć, nie może mieć zabawek i przyjemności.

Najpierwszą niechaj będzie praca i nauka: Po pracy się dopiero przyjemności szuka. Gdyby Ludwiś pogodził pracę z gołąbkami, Nie byłby teraz płakał gorącemi łzami.





## SPIS RZECZY.

|                                              | str. |
|----------------------------------------------|------|
| Skarbiec Adasia. . . . .                     | 5    |
| Podwieczorek. . . . .                        | 10   |
| Nożyk . . . . .                              | 17   |
| Świnki . . . . .                             | 20   |
| Masz i ty złośniku. . . . .                  | 25   |
| Złośliwy kozioł . . . . .                    | 29   |
| Warkoczyk Jadzi i kapelusz Antosia . . . . . | 34   |
| Kura i kurczęta. . . . .                     | 39   |
| Kiedy Karolek dostanie konika . . . . .      | 44   |
| Co my teraz zrobimy? . . . . .               | 47   |
| Co się dalej stało . . . . .                 | 52   |
| Zosia na balkonie . . . . .                  | 57   |
| Mysz. . . . .                                | 62   |
| Zabawki . . . . .                            | 66   |
| To się ustroił! . . . . .                    | 71   |
| Gołąbki. . . . .                             | 75   |



## WYCIĄG Z KATALOGU NAKŁADOWEGO KSIĘGARNI I SKŁADU NUT KONSTANTEGO TREPTEGO

w Warszawie, ul. Marszałkowska 149.



- A. B. C. Gwiazdkowe.** Z wierszykami *Or-Ota*, i licznymi rycinami w pięknej kolorowej okładce. — 45
- A. B. C. Tęczowe,** z 91 kolorowanymi ilustracjami. Tekst *Or-Ota*. Modlitwy, rady, powinszowania, piosenki. 1 20
- Ali Baba** i czterdziestu rozbójników. Tekst *Or-Ota*. W ozdobnej okładce, z chromolitografiami i rycinami w tekście. — 75
- Atlas geograficzny B. Kozenna,** spolszczył Dr. Prof. E. Janota, poprawił Br. Gustawicz. Wyd. nowe 3 60
- Baśnie polskie,** napisał *Or-Ot*. Wspaniałe wydanie z ilustracjami T. Jaroszyńskiego, w pięknej chromolitografowanej okładce. 1 80
- Brzegami Wisły.** Album *J. Olszewskiego*. 16 ilustracji. — 90
- Czerwony kapturek.** Baśń wierszem *Or-Ota*, w ozdobnej okładce z kolorowanymi rycinami. — 75
- „Czy to ciekawe?“** 16 powiastek dla małych dzieci, przez *Z. Morawską*, z rycinami.
- Dla naszych dzieci.** Piękna książeczka obrazkowa bez tekstu. — 60
- Toż samo w formie parawanika. 1 —
- Dudek czubaty.** Wierszyki *Or-Ota*, z obrazkami. — 15
- Dyplomacya rosyjska** w kwestyi polskiej. (1853—1863) przez *S. Tatiszczewa*. Przekład z rosyjskiego. — 90
- Guliwer u karzełków.** Książeczka w formie kajetu, bogato ilustrowana, w chromolitografowanej okładce. Tekst *Or-Ota*. — 50

- Kot w butach.** Baśń napisana prozą rymowaną przez *Or-Ota*, z 4 wielkimi kolorowanymi rycinami i 14 obrazkami w tekście, w chromolitografowanej okładce. — 75
- Kukuryku!** Książeczka w formie kajetu dla najmniejszej dziatwy; zawiera króciutkie wierszyki i zagadki przez *Or-Ota*, z kolorowanymi obrazkami. — 50
- Książeczka czarodziejska** z wierszykami *W. Belzy* i *Rossowskiego*. Wydanie wytworne, z kolorowanymi obrazkami. 1 35
- Małe gosposie,** z wierszykami *Or-Ota*, i kolorowanymi obrazkami. — 15
- Mój ulubiony kotek.** Książeczka z kolorowanymi obrazkami, napisał *Or-Ot*. — 20
- Mój ulubiony piesek.** Wierszyki *Or-Ota*, z kolorowanymi obrazkami. — 20
- Moje powiastki.** 16 powiastek dla małych dzieci przez *Z. Morawską*, z rycinami.
- Na San-Domingo.** Powieść historyczna dla młodzieży z czasów legii naddunajskiej, przez *W. Przyborowskiego*, z rycinami *L. Ilinicza*.  
Karton 1 20  
W ozdobnej oprawie 1 60
- Nasze Bobo.** Wierszyki *Or-Ota*, ozdobione kolorowanymi obrazkami. — 15
- Nasze zwierzęta domowe,** napisał wierszem *Or-Ot*, z 12 kolorowanymi rycinami. — 60  
W formie parawanika, bez tekstu. 1 —
- Parawaniki obrazkowe** na tekturce. W cenie 40 kop., 50 kop. i 1 50
- Polowanie na słonie w Afryce.** Wspomnienia młodego podróżnika. Z kolorowanymi rycinami, w ozdobnym kartonie. 1 20
- Robinson Kruzoe.** Tekst wierszowany *Or-Ota*, w kolorowanej okładce z 4 chromolitografiami i licznymi rycinami. — 75
- Siostra łabędzi.** Baśń wierszem *Or-Ota*, z chromolitografowanymi rycinami, w ozdobnej okładce. — 75
- Śpiąca królewna.** Baśń wierszem *Or-Ota*, z kolorowanymi rycinami. — 75